



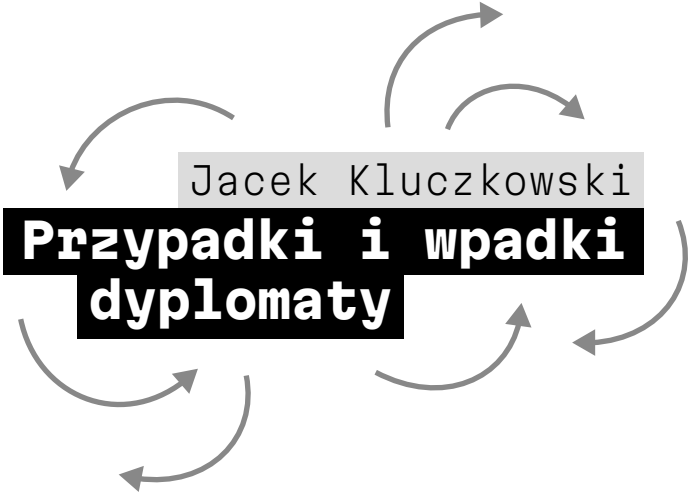
Jacek Kluczkowski

Przypadki i wpadki dyplomaty

Nie tylko z Ukrainy.
Kulisy polityki i dyplomacji
we wspomnieniach byłego
ambasadora i współautora
prezydenckich przemówień



CZY
TEL
NIK

A decorative graphic consisting of several curved arrows of varying sizes and directions, arranged in a circular pattern around the central text. The arrows are light gray and have a simple, clean design.

Jacek Kluczkowski

**Przypadki i wpadki
dyplomaty**

Czytelnik

Projekt okładki i stron tytułowych
Agnieszka Cieślikowska

Redaktor prowadzący
Mariusz Zwoliński

Redakcja
Jolanta Kowalczyk

Redakcja techniczna
Bożena Ławnicka

Korekta
Bianka Dziadkiewicz
Małgorzata Poździk

© Copyright by Jacek Kluczkowski, 2023

© Copyright for this edition by
Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2023

ISBN 978-83-07-03561-1

Pamięci Ewy – poświęcam

Wstęp

Ukraińska dziennikarka zapytała mnie kiedyś o to, jak się odnajduję jako były dziennikarz w pracy dyplomatycznej, która w jej wyobrażeniu polega na uczestniczeniu w przyjęciach i zajmowaniu się niezwykle tajnymi sprawami. Przyszła mi do głowy odpowiedź, że wbrew pozorom zawody dyplomaty i dziennikarza są do siebie dość podobne. Zarówno jeden, jak i drugi rozmawiają z różnymi ludźmi, odwiedzają rozmaite miejsca oraz instytucje, zapoznają się z analizami specjalistów. Potem muszą bardzo szybko coś napisać i przekazać swoim szefom. Dziennikarze piszą wywiady i reportaże, a dyplomaci – depesze i informacje. Dyplomaci mają nawet trochę gorzej, bo muszą pamiętać, żeby w swych opracowaniach zawrzeć konkluzje i wnioski. Dziennikarz może pozostawić takie podsumowanie domyślności czytelników.

Różne są na świecie modele kariery w dyplomacji i drogi do objęcia stanowiska ambasadora. W Europie na ogół dominuje model ściśle profesjonalny. Pracownicy służby dyplomatycznej mają odpowiedni profil wykształcenia i wyznaczoną ścieżkę rozwoju zawodowego od niższych szczebli do wyższych, włącznie ze stanowiskiem ambasadora. W Stanach Zjednoczonych obowiązuje model mieszany. Wśród ambasadorów zdarzają się nominaci stricte polityczni. W Polsce mamy do czynienia z próbami wypracowania własnego modelu. Zwycięzcy wyborów często obawiają się obstrukcji ze strony osób powołanych przez poprzednią ekipę. Los szefów placówek dyplomatycznych bywa w tej sytuacji niepewny.

Moja droga do służby zagranicznej nie była typowa i właściwie nie pasuje do żadnego modelu kariery – ani do ściśle profesjonalnego, ani do politycznego. Najważniejsze w moim życiu okazało się doświadczenie ukraińskie i jemu poświęcona będzie istotna część tej książki. Dzięki pracy dziennikarskiej znalazłem się po raz pierwszy w Ukrainie, której historia i współczesność mnie zafascynowały. Później, jako anonimowy prezydencki ghostwriter, zapoznawałem się z praktycznym uprawianiem dyplomacji. Zawsze przydawały mi się zamiłowanie do historii, doświadczenia z pracy dziennikarskiej oraz osobiste kontakty z ludźmi różnych profesji, różnych generacji i różnych poglądów, nawiązane w latach pracy za wschodnią granicą Polski.

Pierwszą nominację ambasadorską – w 2005 roku do Kijowa – zawdzięczałem ścieżce politycznej. Ale odejście ze stanowisk ministra i prezydenta, którzy decydowali o moim wyjeździe na tę placówkę, nie zakończyło mojej kariery dyplomatycznej. Współpracowałem z trzema prezydentami Rzeczypospolitej Polskiej, pięcioma premierami oraz sześcioma ministrami spraw zagranicznych i właściwie nigdy nie spotkałem się z przejawami braku zaufania z ich strony. Może czasem, w jakichś żartach czy aluzjach... Wypracowałem w sobie dystans, powiedziałbym nawet – swoisty immunitet wobec zawirowań politycznych. Dawało mi to czasem większe poczucie samodzielności, a może nawet lepsze rozumienie tego, że dążenie do dobrego sąsiedztwa w relacjach Polski i Ukrainy to sprawa ponad historycznymi i politycznymi podziałami. Zapewne nie odczuwałbym tego tak mocno, gdybym był bardziej uwikłany w nasze krajowe zależności polityczne.

W latach 1992–2010 obserwowałem – w zależności od sytuacji z bliska i z perspektywy – zmiany, które zachodziły w ukraińskiej polityce, gospodarce i kulturze. A również w tamtejszym społeczeństwie. Stałem się długoletnim i wytrwałym obserwatorem ukraińskich sukcesów i porażek. Niekiedy także ich współuczestnikiem. Punktem zwrotnym w mojej zawodowej karierze, momentem, który przesądził o rozpoczęciu pracy w dyplomacji, był udział w mediacji podczas ukraińskiej pomarańczowej rewolucji. Temu okresowi poświęciłem najwięcej miejsca w niniejszej publikacji. Pytania o to, dlaczego

pomarańczowa rewolucja nie przyniosła reformatorskiego przełomu i dlatego tak szybko wyparował kapitał zaufania do jej bohaterów, nie dawały mi spokoju przez cały okres mojej misji dyplomatycznej w Kijowie. Do dzisiaj uważam, że są one kluczowe dla zrozumienia rozwoju wydarzeń w Ukrainie w następnych kilkunastu latach. Czego było więcej: sukcesów czy porażek? Na pewno zbyt dużo było zaniechań i opóźnień.

W konsekwencji nie udało się niestety – zarówno nam Polakom życzącym Ukrainie sukcesu na jej drodze do Europy, jak i samym Ukraińcom – wygrać z czasem. Nad Ukrainą wisiał od samego początku cień Rosji, której rządzące elity nigdy nie pogodziły się z ukraińską niepodległością, demokracją, wolnością słowa i właściwie od samego początku – a na pewno od momentu dojścia do władzy Władimira Putina – dążyły do ich zdławienia. Trzeba jednak pamiętać, że tragedia, która spotkała Ukrainę, nie była rezultatem błędów ukraińskich czy polskich lub zachodnich polityków, chociaż myślę, że obserwator ma prawo je wytykać i krytykować. Nie oceniam polityków, z którymi los mnie zetknął – ani ukraińskich, ani polskich – niezależnie od tego, czy są mi bliscy i czy są sympatyczni, czy też nie. Zawsze starałem się zrozumieć motywację ich działania. Ale wiadomo nie od dziś, że „po owocach poznajemy ich”. Nieszczęście temu krajowi przyniosła agresja ze strony Rosji – państwa i narodu, wobec których przed rokiem 2013, a już na pewno przed 2004 większość Ukraińców nie żywiła nieprzyjaznych uczuć.

Prezentowana publikacja jest zbiorem wspomnień, czasem też refleksji, dotyczących różnych wydarzeń oraz spotkań i rozmów, w których brałem bezpośredni udział. Miałem okazję poznać wielu znanych polskich i zagranicznych polityków i dyplomatów, a także ludzi kultury, nauki, mediów, biznesu i sportu. Z niektórymi bliżej współpracowałem lub przeprowadzałem interesujące dla mnie rozmowy, dzięki czemu lepiej rozumiałem ich motywacje i działania. Opisując teraz tamten czas i tamte kontakty, korzystałem przede wszystkim z własnych notatek i zapisków oraz z zasobów własnej pamięci, która – mam nadzieję – mnie nie zawiodła.

Nie siliłem się na udzielenie odpowiedzi na pytanie: dlaczego stało się to, co się stało? Nie zamierzam zastępować politologów i historyków. Chciałbym jedynie, żeby książka ta przybliżyła Czytelnikowi funkcjonowanie świata polskiej polityki i dyplomacji w latach 1995–2010 oraz ukazała niektóre mniej znane epizody z ówczesnych relacji Polski i Ukrainy.

Była też, nie ukrywam, jeszcze inna przyczyna, która skłoniła mnie do uporządkowania moich przede wszystkim ukraińskich wspomnień. Upłynęło już wiele lat od niektórych opisywanych wydarzeń i zaczęła zanikać pamięć o znaczeniu oraz przebiegu brawurowej polskiej interwencji w listopadzie 2004 roku na rzecz obrony prawa Ukraińców do demokratycznego wyboru swoich władz. Upowszechniła się uproszczona wersja tamtych dni, nie docenia się relacji bezpośrednich świadków. Nie widzę także prób dotarcia do niejawnych relacji dyplomatycznych i raportów służb specjalnych z tamtych czasów. Prawda, są one często nadal utajnione, ale przecież minęło już tak wiele lat, że można podjąć próbę, by przynajmniej niektóre z tych dokumentów wydobyć i wykorzystać do celów naukowych. Nie można przecież opierać opracowań tego fragmentu najnowszej historii wyłącznie na publicznych wystąpieniach polityków, ich oświadczeniach dla mediów i na kontrolowanych przeciekach, jak to się niestety często dzieje.

Na działalność dyplomaty nie składają się same sukcesy. Naprawdę niejednym raz zdarzało mi się formułować nietrafione prognozy czy powtarzać za moimi rozmówcami błędne oceny lub nawet fałszywe informacje. Bywały także faux pas. Piszę o takich wydarzeniach dosyć otwarcie. Mogą się przytrafić każdemu, ba, są to sytuacje wręcz nieuniknione. Dyplomacja i w ogóle polityka polegają przecież na interakcji z otoczeniem, na wyszukiwaniu wszelkich możliwych i niemożliwych sposobów zrozumienia rozmówców i partnerów oraz porozumieniu się z nimi. Tu nie powinno być miejsca na mentorstwo ani poczucie wyższości.

Własne doświadczenie przekonało mnie niejednym raz, że przebieg wydarzeń nie jest zdeterminowany przez jakieś ogólne prawidłowości lub decyzje podejmowane przez wielkie mocarstwa. Częściej, niż

nam się zdaje, decydują czynniki subiektywne lub po prostu zbiegi okoliczności.

We wspomnieniach nie wykorzystuję informacji, które zdobyłem w czasie lektury niejawnych dokumentów w okresie mojej pracy w rządzie i w dyplomacji, chociaż osobiście uważam, że proces ich udostępniania powinien zostać zdecydowanie przyspieszony. Niekiedy jednak wspominam w książce różne rozmowy i sytuacje, w których brałem udział, a które nie miały publicznego charakteru. Nie dostrzegam przyczyny, żeby nadal, po upływie tylu lat, chronić ich poufność. Mówimy wszak o dosyć już odległej przeszłości.

Wybór wspomnień, które tu prezentuję, został uporządkowany chronologicznie i tematycznie. Proszę Czytelnika o wybaczenie – to nie jest zwarty i ciągły wykład, są to raczej przybliżenia pewnych sytuacji czy zdarzeń, na których przebieg miałem mniejszy lub większy wpływ. Niektóre z nich mogą się wydawać wręcz anegdotyczne, ale chyba wszystkie, które wspominam, otwierały mi oczy na inną niż moja własna perspektywę albo przynajmniej pomagały mi lepiej zrozumieć jakiś problem, jego genezę i uwarunkowania.

Mam nadzieję, że publikowane wspomnienia składają się w sumie na ciekawą całość. Pozostawiam to ocenie Czytelnika.

W poszukiwaniu drogi

(1975–1995)

Pierwsza fascynacja

Na początku była historia. Do tego starożytna. W latach siedemdziesiątych studiowałem na Uniwersytecie Łódzkim. Gdy byłem studentem pierwszego roku, na samym początku nauki spotkałem na zajęciach moją licealną nauczycielkę łaciny, która prowadziła też lektorat dla studentów historii. Widząc mnie, załamała ręce. Lektorat języka łacińskiego na studiach historycznych obejmował kurs dla początkujących, a ja byłem już po czterech latach nauki w liceum. Wtedy zdarzały się jeszcze szkoły średnie, gdzie w niektórych klasach nauczano łaciny. Do tego byłem najlepszym uczniem mojej łacinniczki i olimpijczykiem.

– To zupełnie bezużyteczne dla ciebie zajęcia, będziesz się na nich okropnie nudził – powiedziała. – Jeśli naprawdę chciałbyś wykorzystać znajomość łaciny na studiach, to pomogę ci przenieść się na zajęcia z języka łacińskiego na filologii klasycznej. Tam zaliczysz obowiązkowy lektorat i dowiesz się przy okazji czegoś nowego o literaturze antycznej. Może ci się to przydać w przyszłości, jeśli serio myślisz o pracy na uczelni po dyplomie.

Rzeczywiście marzyłem wtedy o pracy na uczelni. Fascynowała mnie historia starożytna i średniowieczna. Na następne zajęcia lektorka przyniosła mi kilka przedwojennych książek z mowami Cycerona, Kwintyliana i kogoś jeszcze. Oczywiście w oryginale. To byli mówcy, dzięki którym wypracowano wiele obowiązujących do dzisiaj reguł dotyczących sposobu budowania i wygłaszania przemówień.

– Gdy będziemy kiedyś mieć w Polsce prawdziwy parlament i będziesz chciał w nim przemawiać, masz tu dobre wzory, jak przygotowywać mowy – zażartowała.

Nie myślałem wtedy ani o polityce, ani o dyplomacji. Za radą mojej łacinniczki już od pierwszego roku studiów nawiązałem kontakt z Zakładem Historii Powszechnej Starożytnej i Średniowiecznej. Wkrótce wystąpiłem do władz wydziału z prośbą o zgodę na indywidualny program studiów i zacząłem uczęszczać na niektóre zajęcia na filologii klasycznej.

Szybko przegryzłem się przez zeszyty z rzymskimi mowami. Postanowiłem uczynić przedmiotem mojej specjalizacji praktyczne zastosowanie retoryki u schyłku starożytności. Opiekunką mojego indywidualnego toku studiów została profesor Halina Evert-Kappesowa, która zapoczątkowała badania nad dziejami Bizancjum na łódzkim uniwersytecie. Zaproponowałem jej, by przyjęła jako temat mojej pracy magisterskiej analizę wybranych przemówień wygłoszanych przed bitwami przez rzymskich i bizantyjskich władców i dowódców wojskowych. Już nie pamiętam, dlaczego uznałem, że to może być bardzo ciekawe – że trzeba koniecznie napisać o tym, jak u schyłku starożytności za pomocą sztuki oratorskiej motywowano żołnierzy do walki.

Moja promotorka uznała jednak, że to nie jest dobry temat. Przede wszystkim to nie były jej zdaniem prawdziwe przemówienia. Nigdy ich nie wygłaszano, gdyż w bojowym zamęciu żołnierze nie usłyszeli by ani słowa. Były to tylko literackie przerywniki i ozdobniki w tekście kronikarskiej opowieści, które praktycznie w całości stanowiły wytwór wyobraźni autorów. A czasem jedni z nich spisywali od drugich. Można się oczywiście zająć tymi tekstami i dokonywać ich analizy, ale jest to temat dla literaturoznawców, a nie dla historyków. Próbowałem upierać się przy swoim zdaniu, lecz bezskutecznie.

I w ten właśnie sposób straciłem szansę zrobienia naukowej kariery w dziedzinie teorii pisania i wygłaszania przemówień w starożytności. Nie przypuszczałem, że los sprawi, iż dwadzieścia lat później zajmę się przemówieniami nie w teorii, ale w praktyce.

Wspomnienia starszej pani

Profesor Kappesowa była ciekawą osobą, z interesującą biografią, chociaż trzeba powiedzieć, że nie miała wielkiego dorobku naukowego. Była jedną z legend mojego uniwersytetu. Wśród studentek przylgnęła do niej opinia mizoginistki, nie wiem jednak, czy sprawiedliwie. Gdy ją poznałem, miała już ponad siedemdziesiąt lat, ale ciągle prowadziła wykłady z historii starożytnej Grecji i Rzymu, zarówno na historii, jak i archeologii oraz filologii klasycznej.

Przez pewien czas byłem jej jedynym magistrantem, potem była nas trójka. Kameralna atmosfera spotkań seminaryjnych sprzyjała rozmowom nie tylko o obowiązkowych lekturach i postępach w pracy nad magisterium. Pani profesor lubiła opowiadać i wspominać.

Była córką przedwojennego wydawcy i senatora II Rzeczypospolitej z ramienia piłsudczykowskiego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem – Ludwika Everta (tego od pierwszej polskiej encyklopedii firmowanej przez trio Trzaska, Evert, Michalski). Dzieciństwo i wczesną młodość (do 1919 roku) spędziła w Rosji, kilka lat mieszkała i pracowała w Turcji. Jej zmarły jeszcze przed II wojną światową mąż był handlowcem, szefem polskiego przedstawicielstwa handlowego w Stambule, czyli – jak profesor Kappesowa wołała mówić – w Konstantynopolu, a ona prowadziła jego sekretariat. Poznała także ówczesną Grecję i Bułgarię, była w Persji i Syrii.

Karierę naukową zaczęła późno, w wieku trzydziestu paru lat. Wspominała swojego promotora Oskara Haleckiego, wybitnego historyka i publicystę – późniejszego emigranta politycznego i antykomunistę, skądinąd człowieka, który nie miał zrozumienia dla aspiracji niepodległościowych narodów byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Historia bizantyjska stanowiła zaledwie ułamek jego zainteresowań. Profesor Kappesowa narzekała, że w powojennej Polsce nie wolno z przyczyn politycznych publikować jego prac. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że ona sama korespondowała z nim aż do jego śmierci w 1973 roku.

Znacznie więcej opowiadała o innym swoim naukowym mentorze – profesorze Kazimierzu Zakrzewskim, który został rozstrzelany

przez Niemców w 1941 roku w Palmirach. Był on nie tylko historykiem specjalizującym się w historii Bizancjum, lecz także politykiem ciekawego, niszowego, lewicowego nurtu politycznego. Profesor należał do liderów polskich syndykalistów – ruchu próbującego łączyć ideologię anarchistyczną z działalnością w związkach zawodowych. Poświęcał się polityce – zdaniem mojej promotorki – ze szkodą dla swej pracy naukowej.

Samej Halinie Evert-Kappesowej nie były w młodości obce pasje polityczne. Działała – podobnie jak profesor Zakrzewski – w ruchu anarchosyndykalistycznym. W latach okupacji za namową małżeństwa Zakrzewskich współpracowała z syndykalistycznym Związkiem „Wolność i Lud”, niewielką, niezależną, lewicową grupą konspiracyjną, której czołowi działacze należeli też do Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej. Prowadziła nasłuch radiowy, nauczała w podziemnym szkolnictwie. Jednym z jej uczniów na tajnych kompletach w Warszawie był Leszek Kołakowski. Po wojnie zamieszkała w Łodzi i rozpoczęła pracę na nowo utworzonym Uniwersytecie Łódzkim.

Poznała wiele oryginalnych postaci z niezbyt wówczas licznej społeczności międzynarodowej historyków bizantynistów. Lubiła opowiadać o spotkaniach i rozmowach z nimi. W latach trzydziestych XX wieku sporo czasu spędziła we Francji jako uczestniczka dłuższego stażu naukowego. Bohaterami jej opowieści byli między innymi historycy francuscy – Charles Diehl i André Piganiol. O tym ostatnim mówiła, że porzucił chrześcijaństwo i otwarcie wyznawał religię starożytnych Greków i Rzymian oraz że próbował napisać swoje *opus magnum* – dzieło życia – o prześladowaniach pogan przez chrześcijan w czasach późnorzymskich i bizantyjskich. Ale nawet w laickiej Francji trudno było mu znaleźć wydawcę dla takiego dzieła.

Wspominała także spotkania z Nicolae Iorgą, rumuńskim historykiem, pisarzem i publicystą politycznym, a zarazem politykiem, który sprawował nawet przez pewien czas urząd premiera. Został zamordowany w listopadzie 1940 roku przez prohitlerowskie bojówki. Wysłuchiwała kiedyś we Francji jego wykładów i rozmawiała z nim osobiście. Sympatia Kappesowej do Iorgi brała się pewno z tego, że pod względem

rozległości zainteresowań naukowych przypominał jej Oskara Haleckiego. Pod wpływem pani profesor trochę o nim poczytałem.

Inną bohaterką wspomnień mojej promotorki była Rosjanka Nina Pigulewska, z której opracowań na temat relacji bizantyjsko-arabskich korzystałem podczas pisania pracy magisterskiej. Obie panie znały się nie najgorzej. W ramach współpracy naukowej uniwersytetów Pigulewska była kiedyś w Łodzi, a Kappesowa rewizytowała ją w Leningradzie (dziś Petersburg), jeśli dobrze zapamiętałem kolejność odwiedzin.

Początki naukowej kariery Pigulewskiej miały miejsce na uniwersytecie w Piotrogradzie wkrótce po przewrocie bolszewickim w Rosji. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych spędziła kilka lat w łagrze. Była typowym przykładem obowiązkowej mimikry, normy w radzieckiej humanistyce. W jednej ze swoich prac, wydanych na początku lat pięćdziesiątych – przypomnę, że była specjalistką w dziedzinie starożytnej i średniowiecznej historii Bliskiego Wschodu – obszernie cytowała wypowiedzi Józefa Stalina jako źródło swojej naukowej inspiracji. W innej – pochodzącej z lat sześćdziesiątych – już o tym nie było mowy, ale na wszelki wypadek starała się nadal demonstrować klasowe podejście do zjawisk historycznych. Wiele takich przykładów politycznego przystosowania w radzieckiej nauce mogłem później z bliska zaobserwować sam, w czasie rozmów z naukowcami starszego pokolenia w Kijowie i Charkowie.

Podczas pracy nad magisterium musiałem korzystać przede wszystkim z zagranicznej literatury naukowej. Bizantynistyka jest międzynarodową dyscypliną badawczą, co od historyków wymaga znajomości – oprócz łaciny i greki – języków nowożytnych. W bibliotekach naukowych nie było jednak w tym czasie zbyt wielu zagranicznych nowości z tej dziedziny. Obowiązywały limity dewizowe, profesor Kappesowa żaliła się, że jej wnioski o zakup literatury naukowej z Zachodu są regularnie odrzucane przez komisję uniwersytecką. Historia Bizancjum nie znajdowała się wśród naukowych priorytetów naszej Alma Mater. Korzystałem z tego, co było dostępne – dawniejszych publikacji, czasem nawet przedwojennych, oraz z literatury rosyjskojęzycznej.

Pamiętam, że zacytowałem w swojej pracy fragment starej kroniki ormiańskiej Sebeosa z VIII wieku, do której odwołanie znalazłem w jakiejś współczesnej książce czy naukowym artykule. Rzecz w tym, że zagraniczny autor publikacji dysponował przekładem tej kroniki na język angielski. Profesor Kappesowa nie zgodziła się na cytaty z drugiej ręki.

– To byłoby nieprofesjonalne, gdyby cytował pan dawną kronikę, nie mając w ręku jej wydania i korzystając z czyjejś pracy. Proszę z tego zrezygnować, jeśli nie znajdzie pan właściwej książki.

Udało mi się jednak. Znalazłem tę kronikę w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego w tłumaczeniu na język rosyjski w wydaniu z 1862 roku. Bibliotekarz, który mi ją podawał po wyszukaniu w magazynie, powiedział:

– Wygląda na to, że jest pan pierwszym czytelnikiem tej publikacji.

Łatwo było to stwierdzić, gdyż arkusze wydawnicze nie były porozcinane. Nie miałem czym rozciąć kartek, żeby rozpocząć lekturę. Bibliotekarz nie zgodził się, bym to robił swoim grzebieniem. Obawiał się, że porozrywam kartki. Wrócił do mnie z nożem do papieru i wręczył mi go wraz z książką. Chyba właśnie wtedy po raz pierwszy naszły mnie poważne wątpliwości co do tego, czy moja fascynacja historią bizantyjską to jest właściwy wybór. Trzymałem w ręku książkę wydaną sto dwadzieścia lat wcześniej, po którą nikt nigdy nie sięgnął przez tyle lat. Czy naprawdę o to mi chodzi w życiu, żeby zajmować się niszowymi, nikogo nieinteresującymi sprawami? Postanowiłem wziąć ostry zakręt.

Spotkanie z pieriestrojką

Ostatecznie moja współpraca z profesor Kappesową nie ułożyła się i nic nie wyszło z planów zrobienia kariery naukowej. Muszę szczerze przyznać, że ja byłem temu winien. Nie pozostawałem wierny marzeniom o karierze uniwersyteckiej. Angażowałem się w różne przedsięwzięcia i wydarzenia w ruchu studenckim. Koncerty,

spektakle, festiwale, konferencje, spotkania dziennikarzy studenckich, praktyki w mediach wygrywały z historią bizantyjską, która nagle wydała mi się nikomu niepotrzebna i straszliwie odległa od współczesności. Rozwijały się marzenia o pracy naukowej, a bieg wydarzeń poniósł mnie w inną stronę. Ale zamiłowanie do historii pozostało i przydało mi się później, zarówno w karierze dziennikarskiej, jak i dyplomatycznej. W miarę upływu czasu pochłaniałem coraz więcej lektur, lecz z reguły nie były one już poświęcone historii starożytnej i bizantyjskiej. Coraz bardziej wciągała mnie przeszłość i teraźniejszość Rosji, Ukrainy, Litwy i Białorusi oraz krajów Kaukazu.

W latach osiemdziesiątych pracowałem w stołecznych mediach. Najpierw w studenckim tygodniku „itd”, a potem w „Sztandarze Młodych”. Pisałem o różnych rzeczach, najpierw głównie o kulturze studenckiej, potem o historii bliższej i dalszej, wreszcie o polityce. Zaczynałem już wtedy powoli budować swoją wschodnią specjalizację. Muszę przyznać, że bardzo mi w tym pomogła biegła znajomość języka rosyjskiego, którą wyniosłem przede wszystkim z lektur, także tych historycznych. Miałem na koncie parę publikacji oraz trochę ciekawych spotkań i rozmów za wschodnią granicą.

Przyjaciółka mojej żony Tomira Gupieniec dbała o to, żeby moje wyobrażenie na temat Związku Radzieckiego nie było jednostronne. Miała ona, a może raczej jej rodzice, jakieś kontakty z emigracyjnymi księgarniami rosyjskimi i od czasu do czasu podrzucała mi książki rosyjskich emigrantów i opozycjonistów wydane na Zachodzie. Dzięki niej zapoznałem się ze wspomnieniami Anatolija Marczenki, rosyjskiego dysydenta, który spędził w łagrach kilkanaście lat i zmarł w następstwie strajku głodowego, pośmiertnego laureata – wraz z Nelsonem Mandelą – pierwszej Nagrody Sacharowa w 1988 roku. Dotarłem też do zakazanej w ZSRR, a również w Polsce i innych krajach socjalistycznych, publicystycznej książki Maksyma Gorkiego *Myśli nie na czasie*. Zawarte w niej felietony powstały w latach dwudziestych w czasie pobytu pisarza na Capri i zawierały ostrą krytykę Lenina i innych czołowych bolszewików. Próbowałem – mimo cenzury – coś o nich napisać i opublikować na łamach tygodnika „itd”.

W 1985 roku rozpoczęła się w ZSRR pieriestrojka, z początku bardzo nieśmiało. Prawdziwym przeżyciem stała się dla mnie dwutygodniowa trasa po najciekawszych teatrach dramatycznych Moskwy, Leningradu i Mińska, którą odbyłem wraz z grupą polskich krytyków teatralnych i publicystów kulturalnych piszących dla mediów oficjalnych. Wszędzie widziałem zainteresowanie polską kulturą i odrodzenie nowego ducha w zsovietyzowanych do niedawna instytucjach kultury i redakcjach.

W Mińsku poznałem całe grono osób, które działały na rzecz białoruskiego odrodzenia narodowego, i przeprowadziłem wywiad z Adamem Maldziszem, wybitnym białoruskim krytykiem literackim, historykiem i badaczem polsko-białoruskich związków literackich, na temat historii trzech przekładów *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza na język białoruski.

Ciekawe były wrażenia z pobytu w Leningradzie. Obejrzałem tam, w miejscowym teatrze dramatycznym, inscenizowane spektakle historycznej trylogii Aleksieja Tołstoja¹ poświęcone czasom smuty², na które udawało się wejść tylko po znajomości ze względu na ogromne zainteresowanie publiczności. Widziałem w teatrze zatłoczoną dzień po dniu do ostatniego miejsca widownię, mimo że każda z części trylogii miała już wtedy po niemal tysiąc wystawień. Ludzie siedzieli na podłodze, w przejściach między rzędami krzesel.

Narracja dramatów Aleksieja Tołstoja zbudowana została na podstawie prac Nikołaja Karamzina, rosyjskiego dziewiętnastowiecznego historyka. Ale w tym przypadku nie chodziło jedynie o ich treść. Zdumiewała mnie reakcja leningradzkiej publiczności, która – mimo siedemdziesięciu lat treningu ze strony komunistycznej propagandy – nie ukrywała swojego zachwytu blichtrzem carskiej władzy pokazanym w scenografii, kostiumach, dialogach. Widownia żywo reagowała na przebieg akcji na scenie. Oklaskiwano wymierzone w cudzoziemców tyrady postaci prezentujących postawy patriotyczne oraz moralne

¹ W skład trylogii wchodziły dramaty: *Śmierć Iwana Groźnego*, *Car Fiodor Joannowicz* i *Car Borys Fiodorowicz Godunow*.

² Smuta (ros.) – zamęt, okres zamieszek w państwie moskiewskim w latach 1605–1613.

nauki wygłaszane przez aktorów grających prawosławnych duchownych. Z dezaprobatą przyjmowano natomiast pojawienie się na scenie postów z Polski. Widzowie tupali nogami podczas ich wypowiedzi. Wraz z pieriestrojką obudził się stary rosyjski nacjonalizm, połączony z dumą z dawnego imperium i samodzierżawia.

Nie byłem pewien, czy rosyjscy demokraci i liberałowie poradzą sobie z tym wyzwaniem, którego zresztą przez wiele następnych lat wyraźnie nie doceniali.

Na początku 1988 roku byłem po raz pierwszy przez kilka dni w Ukrainie – w Odessie i we Lwowie. Z Odessy pamiętam wieczór w klubie filmowym, gdzie wyświetlano dokument na temat ekologicznej katastrofy w radzieckiej Azji Środkowej. Byłem świadkiem ożywionej, wielogodzinnej dyskusji widzów właściwie o wszystkim – o ekologii, Czarnobylu, a także o rosyjskiej i ukraińskiej historii i polityce.

Zapamiętałem z Odessy niemal zupełny brak gazet w kioskach. Ludzie chłonęli wiadomości i wykupowali wszystkie wydania. W rosyjskojęzycznej Odessie w pierwszej kolejności rozchodziły się gazety i periodyki w języku rosyjskim. Mniejszym popytem cieszyły się tytuły po ukraińsku, które były przeznaczone raczej dla czytelników pochodzących z okolicznych wiejskich obszarów. Dlatego w czasie pobytu w tym mieście, chcąc nie chcąc, kupowałem głównie – z powodu braku prasy rosyjskojęzycznej – gazetę „Czornomorec” w języku ukraińskim, gdzie zagłębiałem się w tasiemcowe teksty publicystyczne i przemówienia polityków. Próbowałem zrozumieć jak najwięcej, ale wbrew moim oczekiwaniom ukraiński nie okazał się tak podobny do rosyjskiego, jak mi się wcześniej wydawało. Przy najbliższej okazji kupiłem samouczek języka ukraińskiego oraz słownik rosyjsko-ukraiński i nie rozstawałem się z nimi. Okazały się bardzo przydatne.

Natomiast Lwów w lutym 1988 roku na tle rozdyskutowanej Odessy wydał mi się wyciszony. Na ulicy, w sklepach, księgarniach, restauracjach w centrum miasta dominował język rosyjski. Przynajmniej tam, gdzie ja bywałem. Ale to była cisza przed burzą. Jej zwiastun stanowiły liczne ogłoszenia i informacje w języku ukraińskim na ulicznych słupach ogłoszeniowych i na tablicach ogłoszeń na uczelniach

i w redakcjach. Opowiadano mi, jak o czymś niezwykłym, o odrodzeniu tradycji kolędowania i wertepowania³ w czasie niedawnych styczniowych świąt Bożego Narodzenia i o tym, że we Lwowie w styczniu 1988 po raz pierwszy od 1945 czy 1946 roku Boże Narodzenie było świętowane szeroko, choć jeszcze nie powszechnie. Już jesienią poprzedniego roku z inicjatywy dopiero co utworzonego Towarzystwa Lwa⁴ rozpoczęto porządkowanie mogił wybitnych twórców ukraińskiej kultury i nauki na lwowskich cmentarzach Łyczakowskim i Janowskim. To było coś nowego, jak mówili mi znajomi. Przyznam się, że nie doceniłem wtedy znaczenia tych opowieści. Wydawało mi się, że to po prostu wraz ze świętami Bożego Narodzenia i kolędnikami wraca do Lwowa normalność. A to był w istocie początek prawdziwej rewolucji.

Boat people

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych należałem do kategorii ludzi zwanych żartobliwie *boat people*, czyli mieszkańców Łodzi dojeżdżających do pracy lub do różnych zajęć w Warszawie. To naprawdę była liczna grupa, obejmująca tysiące osób. Niektórzy jeździli do stolicy samochodem dwa, trzy razy w tygodniu, inni codziennie. Większość w poniedziałek rano wsiadała do pociągu pospiesznego „Telimena”, a wieczorem w piątek wszyscy gremialnie wracali do domu.

To była prawdziwa społeczność. Nie ograniczała się do spotkań na dworcach i w pociągach. Widywaliśmy się na uczelniach, na konferencjach, w bibliotekach, podczas rozmaitych debat i dyskusji, także towarzysko. W połowie lat dziewięćdziesiątych powstało nawet formalne stowarzyszenie ze statutem i władzami. Prawdziwe łódzko-warszawskie ziomkostwo wędrowców.

³ Wertep (ukr.) – w tradycji greckokatolickiej jasełka, szopka, widowisko przedstawiające narodzenie Jezusa.

⁴ Towarzystwo Lwa – powstało w 1987 roku we Lwowie i było apolitycznym zrzeszeniem ludzi zainteresowanych odrodzeniem lokalnych tradycji oraz budzeniem świadomości narodowej i historycznej wśród Ukraińców.

Zbiegiem okoliczności w pociągu na trasie Łódź–Warszawa spotykaliśmy się jakoś wyjątkowo często z Markiem Belką. Myślę, że nie rzadziej niż trzy, cztery razy w każdym miesiącu przez kilka lat. Czasami nawet częściej.

Poznaliśmy się jeszcze w moich wczesnych czasach studenckich, chyba w 1974 roku. Marek Belka był wtedy młodym pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Łódzkim. Jako prawdziwy wunderkind bardzo wcześnie, bodaj w wieku dwudziestu lat, zakończył studia i rozpoczął pracę na uczelni. W czasie wspólnych podróży między Łodzią a Warszawą sporo rozmawialiśmy. On dojeżdżał do pracy w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN, ja – do swojej redakcji. Pociąg z Łodzi do Warszawy jechał wtedy znacznie dłużej niż dzisiaj, ponad dwie godziny. Często dochodziły do tego spóźnienia na trasie, która była bez przerwy remontowana.

Dyskutowaliśmy o polityce i gospodarce, omawialiśmy sukcesy i niepowodzenia znajomych. Czasami trochę się spieraliśmy, ale – zdecydowanie częściej – nasze poglądy na różne kwestie były bliskie. W czasie gdy premierem PRL został profesor Zbigniew Messner, podzielałem sceptycyzm Marka Belki co do prób narzucenia przez ekipę rządzącą agendy reform pomijającej istnienie w kraju realnej, choć nieuznawanej opozycji. Porażka władzy podczas tak zwanego referendum reformatorskiego w 1987 roku dowiodła, że bez ogólnego porozumienia władzy z opozycją nie da się rozwiązać problemów gospodarczych Polski. Zresztą nie tylko gospodarczych.

Po 1989 roku, w czasie naszych pociągowych (i nie tylko) rozmów, Marek Belka dzielił się ze mną uwagami o swojej współpracy z ministerstwami gospodarczymi nowego rządu oraz refleksjami ze swoich podróży i obserwacji w krajach regionu. Uczestniczył wtedy w realizacji wielu międzynarodowych projektów. Chętnie porównywał transformujące się gospodarki w krajach postkomunistycznych w Europie i Azji z sytuacją w Polsce.

Bardzo mu zazdrościłem konsekwencji w rozwoju kariery naukowej i dystansu do świata polityki. Magisterium w wieku lat dwudziestu, doktorat – dwudziestu sześciu, habilitacja siedem lat później, stypendia

w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, książka o twórcy teorii monetaryzmu i guru amerykańskich neokonserwatystów Miltonie Friedmanie, profesura belwederska w wieku czterdziestu jeden lat. Praca w Polskiej Akademii Nauk. Doradzał ministrom – Jerzemu Kropiwnickiemu, a później Jerzemu Osiatyńskiemu. Współpracę z politykami w Polsce traktował pragmatycznie, w kategorii zadań do wykonania.

Myślę, że nasze rozmowy były interesujące. Może nawet inspirujące, zwłaszcza dla mnie. Również Marek Belka pisze o nich w swoich wspomnieniach, powiedziałbym nawet, że z pewnym sentymentem. Te nasze spotkania miały swoje konsekwencje. I dla samego profesora, i dla mnie. On zapamiętał naszą rozmowę w pociągu, ja – spotkanie... na wojskowym poligonie⁵. Trochę więcej napiszę o tym nieco dalej.

Nie ten Piłsudski

U schyłku epoki PRL zwracano się niekiedy do dziennikarzy z propozycją współuczestniczenia w pisaniu niektórych ważnych przemówień polityków, adresowanych zwłaszcza do środowisk inteligenckich czy ludzi młodych. Chodziło o odnowienie języka, o przyciągnięcie uwagi. Jednym kolegom wychodziło to lepiej, innym gorzej. Jedni odmawiali, inni nie. Mnie ten przywilej szczęśliwie omijał. Aż do czerwca 1988 roku.

Pewnego dnia – pamiętam, że to był piątek, co jest ważne dla dalszej części opowieści – zaprosił mnie na krótką rozmowę Tadeusz Sawic, mój znajomy z czasów działalności w ruchu studenckim, były sekretarz generalny Narodowej Rady Kultury. W latach 1988–1989 był on, obok profesora Aleksandra Krawczuka, ówczesnego ministra, jedną z najważniejszych postaci zajmujących się polityką kulturalną państwa.

– Wkrótce przyjeżdża do Polski Gorbaczow – zaczął. – To może być przełomowa wizyta, także dla sytuacji u nas w kraju. Poproszono nas o trzy, cztery kartki sugestii do wystąpienia Jaruzelskiego. Nie

⁵ Marek Belka, *Selfie*, Warszawa 2016, s. 41–43.

o polityce i nie o pieriestrojce, najlepiej o kulturze czy historii, jeśli da się znaleźć coś, o czym nie mówiono do tej pory publicznie. Siedzisz w tych zagadnieniach, może uda ci się coś zaproponować. Spróbuj.

Propozycja napisania sugestii do przemówienia na tak wysokim szczeblu i przy tak szczególnej okazji po prostu mnie zainteresowała. Od wiosny 1985 roku w Związku Radzieckim zachodziły zmiany, które były z każdym miesiącem coraz bardziej zauważalne – coraz szybsze i głębsze. Szczerze kibicowałem wtedy Gorbaczowowi – podobnie jak wielu ludzi w Polsce.

Miałem jeden, ale za to ogromny problem z wykonaniem tego polecenia. To był piątek, dzień przed weekendem, a ja od poniedziałku zaczynałem urlop. Planowałem wyjazd z Warszawy zaraz po pracy w piątek po południu, czyli właśnie tego samego dnia, kiedy otrzymałem tę propozycję nie do odrzucenia. Miałem jechać do Bratysławy, gdzie praktykę dziennikarską w ośrodku kultury polskiej odbywała moja żona Ewa. Postanowiliśmy spędzić na Słowacji parę tygodni razem, tak by mogła ona kontynuować swój staż, a równocześnie czas wolny poświęcić rodzinie. Samochód, polski fiat 126p, czekał zatankowany „pod korek”. Podróżować miałem razem z naszym dwuipółletnim synem, który od początku tygodnia przebywał pod opieką dziadków w Piotrkowie Trybunalskim. Miałem go odebrać od teściów po drodze ze stolicy do przejścia granicznego, skracając tym samym małemu czas przejazdu.

Ewa wszystko policzyła i skalkulowała z dokładnością do pół godziny. W dniu planowanego wyjazdu dostałem już nawet wiadomość z Bratysławy, że żona właśnie pojechała na dworzec kolejowy, bo zamierzała nas osobiście spotkać na polsko-czechosłowackiej granicy.

A tu – masz ci los – Gorbaczow. Na pewno nigdy w życiu nie pisałem szybciej niż wtedy. Przygotowanie tekstu zajęło mi chyba niewiele więcej niż dwie godziny – zabrakło czasu, żeby poszukać jakichś rzeczywiście oryginalnych ciekawostek w bibliotece. Musiałem korzystać z tego, co miałem w pamięci i pod ręką. Internetu, na wszelki wypadek przypomnę, jeszcze wtedy nie znano.

Tekst oddałem w rękopisie. Nie miałem czasu na przygotowanie czystego maszynopisu bez poprawek. Na szczęście los mi sprzyjał.

Sawic wyszedł na jakieś spotkanie i już miał nie wrócić tego popołudnia. Nie musiałem zatem tego dnia nic więcej z nim uzgadniać – ani co do formy, ani w zakresie treści.

Wybiegłem do samochodu i w drogę! Dwupasmowa trasa z Warszawy do Katowic nie była zatłoczona. Po drodze w Piotrkowie, w ekspresowym tempie, zapakowałem syna do samochodu. W ogóle nie marudził, podekscytowany zbliżającym się spotkaniem z mamą. Potem dalej – szybko do Cieszyna. Przed przejściem granicznym również na szczęście nie było kolejki. Spóźnienie udało się zredukować do kilkunastu minut. Żona już czekała na nas przy wjeździe na graniczny most na Olzie z czechosłowackiej strony. Była – rzecz jasna – zła, bo opracowany przez nią szczegółowy harmonogram podróży się posypał. Wolałem nie myśleć, co by było, gdybym spóźnił się o dwie lub trzy godziny. Do Bratysławy dojechaliśmy dopiero głęboką nocą.

Gdy po dwóch tygodniach urlopu wróciłem do Warszawy, nikt nie nawiązał ani jednym słowem do tekstu przygotowanego przeze mnie. W takiej sytuacji również wolałem o nic nie pytać. Domyślałem się, że eksperyment odnowienia języka i moja próba przyciągnięcia uwagi słuchaczy się nie powiodły.

Kiedy w lipcu 1988 roku doszło do wizyty w Polsce inicjatora radzieckiej pieriestrojki, Michaił Gorbaczow z Wojciechem Jaruzelskim przemawiali w Sejmie, co było transmitowane przez telewizję. Nie oglądałem tego programu, zajmowałem się akurat jakimiś porządkami w domu. Ale telewizor był włączony i słychać go było w tle. Nagle rozpoznałem swoje słowa wypowiedane przez Jaruzelskiego. Akapit po akapicie. Chyba niemal połowa mojego tekstu została wykorzystana.

Rok lub dwa lata później usłyszałem opinię, że podczas wizyty Gorbaczowa, która odblokowała dialog polityczny w Polsce, a przed ekipą rządzącą w Warszawie zapaliła zielone światło dla przeprowadzenia rozmów przy Okrągłym Stole, wizerunkowo najważniejsze były dwie rzeczy – występ Andrzeja Rosiewicza na Wawelu z piosenką *Wieje wiosna ze Wschodu* i słynnym refrenem „Michaił, Michaił...” oraz to, że Jaruzelski w swoim przemówieniu w Sejmie wymienił w pozytywnym kontekście nazwisko Piłsudskiego.

Tu zaprotestowałem:

– Ale przecież wymienił Bronisława Piłsudskiego, a nie Józefa!

Sam wpisałem do tekstu przemówienia wspomnienie o polskim etnografie, który na zesłaniu badał życie i kulturę rdzennych mieszkańców Sachalinu.

– A jakie to ma znaczenie? – Usłyszałem w odpowiedzi. – Pokazaliśmy Rosjanom, że mamy własny sposób opowiadania o historii.

Ha, ha! Polacy zawsze trzymali się własnego sposobu opowiadania o historii. Teraz odważył się na to polityk wysokiego szczebla. Mały sukces. Ale zawsze...

To był jednorazowy eksperyment. Bez dalszego ciągu. Nie napisałem już w tamtych czasach żadnego przemówienia dla ówczesnych VIP-ów. Wkrótce wyprowadziliśmy się na dłuższy czas z Warszawy i wróciliśmy do mojej rodzinnej Łodzi, gdzie Ewa i ja znaleźliśmy dla siebie zajęcie w miejscowej prasie.

Moja żona w 1990 roku była w gronie założycieli nowej regionalnej gazety codziennej „Wiadomości Dnia”, która odniosła spory sukces na rynku. Wkrótce też trzydziestoletnia Ewa została redaktorką naczelną tego pisma.

Nasze kontakty ze stolicą uległy rozluźnieniu. Przyjeżdżałem do Warszawy właściwie tylko na briefingi dla dziennikarzy zajmujących się tematyką ekonomiczną organizowane przez Jerzego Koźmińskiego, koordynatora sztabu Leszka Balcerowicza. Skądinąd jako dziennikarz lokalnej gazety łódzkiej nie miałem na łamach dużo miejsca na rozpisywanie się o gospodarczej transformacji.

Inwestycja na glinianych nogach

Jesienią 1992 roku zdecydowałem się wyjechać na jakiś czas do Kijowa, przyjmując propozycję prywatnego inwestora z Wielkopolski, który chciał zbudować w Ukrainie popularne wydawnictwo książkowe, a przy okazji utworzyć ilustrowany magazyn kolorowy o profilu

społeczno-kulturalnym i rozrywkowym pod wiele obiecującym tytułem „Europa” z dodatkiem „Extra Business Magazine”.

Pożegnałem się z żoną, uściskałem syna i wyruszyłem w nieznaną. Pojechałem do Ukrainy, o czym w gruncie rzeczy zadecydował przypadek; gdyby propozycja dotyczyła Białorusi, też pewnie bym się zdecydował. Kijowa nie odwiedziłem nigdy wcześniej, właściwie nikt tam nie znałem. Wyposażony byłem w jedynie książkową wiedzę, dobrą znajomość rosyjskiego w mowie i piśmie oraz w samouczek języka ukraińskiego kupiony cztery lata wcześniej w Odessie.

To nie była prosta decyzja. Zaczął się trudny i bardzo wymagający okres w moim życiu rodzinnym. Małżeństwo stało się przez następne dwa lata związkiem na dystans. Robiliśmy oboje bardzo wiele, żeby odwiedzać się nawzajem tak często, jak się tylko dało. Ale, nie da się ukryć, bywało nam trudno. Dystans między Łodzią a Kijowem wynosi niemal dziewięćset kilometrów, które pokonywałem samochodem. Wydawaliśmy majątek na rozmowy telefoniczne. To było zupełnie co innego niż krążenie między Łodzią a Warszawą, do czego przywykliśmy w drugiej połowie lat osiemdziesiątych.

Zdecydowałem się podjąć wyzwanie, a Ewa mnie w tym poparła. Uznaliśmy oboje, że powinienem wejść w te otwarte raczej przypadkowo drzwi i znaleźć dla siebie nową specjalizację. Miałem przekonanie, że moja kariera dziennikarska zabrnęła w ślepy zaułek – prowincjonalna gazeta ma swoje ograniczenia. Zajmowałem się w latach 1989–1991 głównie problematyką gospodarczą i parlamentarną. Na myślenie o powrocie do marzeń o karierze naukowej było już zdecydowanie za późno. A w byłym Związku Radzieckim w 1992 roku nadal wiele się działo, ważyły się losy reform gospodarczych. Uważałem, że ich sukces albo porażka zadecydują o przyszłości całej wschodniej części kontynentu, wpłyną zapewne także na losy Polski. Starłem się pilnie śledzić wydarzenia w Rosji, Ukrainie, Białorusi. Chciałem dalej pisać o tych krajach, ale nie miałem gdzie publikować, myślałem o napisaniu książki o tym, co się tam dzieje po rozpadzie ZSRR. Nie było to proste, bo prenumerata prasy rosyjskiej i ukraińskiej dramatycznie zdrożała po wprowadzeniu przelicznika dolarowego i w końcu 1990 roku

musiałem z niej zrezygnować, a moje wschodnie kontakty w środowiskach tamtejszych reformatorów i ekonomistów po prostu się rwały.

Przyjechałem do Kijowa w samym środku gospodarczej zapaści. Jej skutki oglądałem na własne oczy i odczułem na własnej skórze. Redakcja i moje biuro mieściły się w samym centrum ukraińskiej stolicy przy ulicy Pańkowskiej w budynku zajmowanym przez biuro projektowania zakładów produkcji tworzyw sztucznych. W Związku Radzieckim były dwie lub trzy instytucje o takiej specjalności. Gdy pierwszy raz odwiedziłem dyrektora biura w jego gabinecie, w październiku 1992 roku, z dumą pokazywał mi mapę już byłego ZSRR, gdzie zaznaczono kilkanaście zakładów produkcyjnych zaprojektowanych przez jego zespół. Cieszył się, że nadal napływają nowe zlecenia na budowę i remonty.

Przy następnych spotkaniach spostrzegłem, że szybko tracił swój optymizm. Domagał się ode mnie bez skrępowania coraz wyższych opłat za wynajem pomieszczeń. Jesienią 1992 roku Ukraina została wypchnięta ze strefy rublowej. Nalegał, abym rozliczał się tylko w dolarach i tylko w gotówce. Tak rodziła się w Ukrainie „szara strefa”. Ze sporym opóźnieniem dotarło do mojego rozmówcy, że stara epoka już się zakończyła. Przestały napływać nowe zlecenia, bo przestano budować i remontować przedsiębiorstwa produkujące tworzywa sztuczne. Rachunki za wykonaną pracę na terenie innych republik byłego ZSRR pozostały nieopłacone. Biuro spóźniało się z wypłatą pensji dla swoich pracowników i mimo szalejącej kilkusetprocentowej inflacji właściwie ich też nie indeksowało. Nie płaciło za usługi komunalne, za dostawę prądu. Skrócono tydzień roboczy najpierw do czterech, potem do trzech, a pod koniec mojego pobytu w Kijowie nawet do dwóch dni w tygodniu. Wszyscy próbowali dorabiać na własną rękę, gdzie kto mógł. Wciąż działała zakładowa stołówka i chyba głównie to trzymało pracowników przy firmie. Tylko niektórzy z nich decydowali się na porzucenie pracy, gdyż niemal wszędzie sytuacja była podobna – narastające opóźnienia w wypłacie pensji i brak ich indeksacji. W odróżnieniu jednak od transformującej się polskiej gospodarki bezrobocie w Ukrainie pozostawało bardzo niskie. Nikt z kierownictwa biura projektowego ani z ministerstwa, któremu ono podlegało, nie

miał pomysłu, co dalej z nim robić, ale nie było też odważnego, który zdecydowałby się je zlikwidować.

Podobnie działo się w kijowskich wydawnictwach książkowych i redakcjach. Produkcja poligraficzna załamała się, drukarnie utraciły płynność finansową. Dla mnie jako wydawcy, mającego przez pewien czas zapewnione finansowanie z zagranicy, miało to też pozytywne strony. Nasze zlecenia przyjmowano od ręki, bo w zakładach poligraficznych było mnóstwo wolnych mocy produkcyjnych. Nie miałem problemów ze znalezieniem współpracowników, gdyż wszyscy – nawet najlepsi – redaktorzy i tłumacze szukali okazji, żeby dorobić. W 1993 roku pensja w wysokości trzydziestu, czterdziestu dolarów miesięcznie uchodziła w znanych mi redakcjach i przedsiębiorstwach za godziwe wynagrodzenie.

Wielkie kombinaty poligraficzne radziły sobie, wynajmując pomieszczenia biurowe, podobnie jak biuro projektów, w którym ja urzędowałem. Pewnego razu, gdy wysiadłem z windy, na piątym czy szóstym piętrze biurowca kijowskiego wydawnictwa, gdzie wcześniej prowadziłem jakieś techniczne uzgodnienia, powitali mnie: umundurowany strażnik oraz tabliczka po ukraińsku i hiszpańsku – Ambasada Królestwa Hiszpanii.

Przez pewien czas moja firma radziła sobie w tej sytuacji nie najgorzej. Ale rynek mediów i książek w Ukrainie okazał się bardziej wymagający, niż się tego spodziewał mój ówczesny pracodawca. Nasi potencjalni czytelnicy martwili się o to, żeby przeżyć. Ciekawostki z „dalekiej” zagranicy znajdowały się na liście priorytetów na odległych miejscach. Aby sprzedać większość nakładu, musieliśmy obniżyć ceny, nawet poniżej granicy opłacalności. Nie mieliśmy reklam, bo kto chciałby się reklamować na takim szybko biedniejącym rynku? Widziałem, że nasz pomysł edytorski to biznes stojący na glinianych nogach, że upłynie sporo czasu, zanim sytuacja się poprawi.

Od momentu, kiedy w kwietniu 1993 roku przejąłem samodzielne kierowanie wydawnictwem, udało się zrównoważyć wpływy i wydatki, ale o zyskach z działalności wydawniczej nawet nie można było myśleć w wyobraźalnej perspektywie. Ratowaliśmy się zleceniami reklamowymi, które otrzymywaliśmy od zachodnich agencji, i zarabialiśmy na różnicach kursowych.

Po Ukrainie przemieszczałem się na ogół samochodem. Najczęściej jechałem do stolicy Ukrainy z przejścia granicznego w Dorohusku przez Łuck i dalej tak zwaną dawną trasą warszawską przez Równe i Ostróg. Pamiętam, że drogi poza miastami właściwie świeciły pustkami. Jesienią i zimą, gdy wcześniej zapadał zmrok, ta samotność na trasie nie była przyjemna.

W przydrożnych kafejkach ludzie chętnie mnie zaczepiali, wypytywali, co się dzieje w Polsce, jak się żyje Polakom. To był główny temat wszelkich rozmów. W latach 1992–1994 Ukraina bardzo szybko i zupełnie dla siebie nieoczekiwanie pogрузzyła się w głębokim ekonomicznym kryzysie. A przecież miało być tak dobrze po wprowadzeniu demokracji i reform rynkowych... Niekiedy można było odnieść wrażenie, że rozczarowanie, nawet rozpacz tych przypadkowych rozmówców nie miały granic. W tym samym czasie w Polsce gospodarka, poddana terapii szokowej, zaczynała już powoli odrabiać straty, chociaż bezrobocie nadal pozostawało bardzo wysokie.

Zapamiętałem dobrze podkijowskie miasteczka – Borodziankę, Irpień i Buczę, przez które przejeżdżało się na ostatnim odcinku trasy do Kijowa. Docierałem tam zazwyczaj wieczorem. Włączałem wtedy samochodowe radio, bo dopiero stamtąd mogłem bez szumów i trzasków słuchać kijowskich rozgłośni radiowych nadających na UKF-ie. W marcu i kwietniu 2022 roku oglądałem te same miejscowości w telewizji, gdy zostały wyzwolone po parotygodniowej rosyjskiej okupacji. Ulice i drzewa niewiele się zmieniły... Ale wstrząsające wrażenie robił widok zrujnowanych domów i mostów. I trupy ludzi zamordowanych przez rosyjskich najeźdźców, leżące na ulicach, którymi tyle razy przejeżdżałem.

Akredytacja w Kijowie

W tym czasie pisywałem, co prawda niezbyt regularnie, korespondencje z Ukrainy dla paru polskich gazet. Najbliżej byłem chyba związany z redakcją warszawskiego „Kuriera Polskiego” i właśnie tę

redakcję poprosiłem o załatwienie dla mnie oficjalnej akredytacji prasowej w ukraińskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dzięki niej mogłem uczestniczyć w konferencjach prasowych, kręcić się po korytarzach ukraińskiego parlamentu i rządu. Ułatwiała mi ona przejeżdżanie przez granicę, poruszanie się po Ukrainie i – co tu ukrywać – relacje z policją drogową w przypadku przekroczenia dozwolonej prędkości.

Byłem w gronie dziennikarzy, którzy obsługiwali w styczniu 1993 roku wizytę premier Hanny Suchockiej w stolicy Ukrainy i nieco późniejszą wizytę prezydenta Lecha Wałęsy w Kijowie i Lwowie. Poznałem wtedy kilka osób z otoczenia ważnych ukraińskich polityków, w tym rzecznika prasowego rządu Leonida Kuczmy – Dmytra Tabacznyka, który kilkanaście lat później został wicepremierem w rządzie Wiktora Janukowycza, a potem Mykoły Azarowa. Nie wiem, jak go zapamiętali z tamtych lat inni polscy dziennikarze akredytowani w Kijowie, ale mnie utkwił w pamięci fakt, że w rozmowach ze mną Tabacznyk nie chciał mówić po rosyjsku, a angielskiego nie znał. Uparcie trzymał się ukraińskiego i tym samym zmuszał mnie do komunikowania się w tym języku, chociaż ja w początkach lat dziewięćdziesiątych mówiłem po ukraińsku bardzo słabo. Podobną, mocno frustrującą dla mnie sytuację przeżyłem w czasie spotkania z wiceministrem kultury Jurijem Serdiukiem, który także nie chciał rozmawiać po rosyjsku.

Te powtarzające się problemy stały się dla mnie wyzwaniem. Wyciągnąłem z półki kupiony w Odessie w 1988 roku samouczek i wznowiłem pracę nad swoim ukraińskim. I jak się wkrótce okazało – z nie najgorszym rezultatem, co od razu poszerzyło krąg miejscowych rozmówców i znajomych.

Zdarzały mi się zabawne wpadki. Nie mogłem zapamiętać, że niektóre dwugłoski czyta się po ukraińsku inaczej niż po rosyjsku. Kiedyś przybiegłem do pracy zaintrygowany szyldem, który zauważyłem na mieście i odczytałem jako „kniżkowa (czyli książkowa) policja”. Zapytałem, o co chodzi. Okazało się, że jest to nazwa sieci księgarń i powinienem ją odczytać jak „knyżkowa połyca”, czyli po prostu półka z książkami. Czasami w błąd wprowadzała mnie słownikowa bliskość polskiego i ukraińskiego. Ale przecież nie od razu Kraków zbudowano, prawda?

Nie tylko ja miałem językowe problemy. W ukraińskim MSZ opowiedziano mi anegdotkę świadczącą o tym, jak zawodne może być przekonanie, że mówiąc po ukraińsku i polsku, można się porozumieć bez problemu. Otóż ówczesny polski ambasador został podobno zapytany przez urzędnika protokołu dyplomatycznego podczas jakiejś uroczystości o to, gdzie jest jego małżonka. Po ukraińsku pytanie brzmiało: „A de je wasza drużyna?”. Na co ambasador wskazał na swojego współpracownika płci męskiej, mówiąc, że to właśnie jest drużyna reprezentująca wraz z nim polską ambasadę, czym wzbudził niemałą konsternację. Ukraińska służba dyplomatyczna nie była jeszcze gotowa na małżeństwa jednopłciowe. Historyjka długo krążyła po korytarzach ukraińskiego MSZ.

Chociaż rząd ukraiński oficjalnie bardzo popierał komunikację w języku państwowym, jego ministrowie miewali z tym spore kłopoty. Sam widziałem, jak w 1992 czy 1993 roku, przy pożegnaniu jakiegoś amerykańskiego dygnitarza, ówczesny premier Leonid Kuczma wygłaszał swoje oświadczenie dla ukraińskiej prasy po rosyjsku, a ambasador Stanów Zjednoczonych – po ukraińsku. I nikogo to specjalnie nie dziwiło. Może tylko cudzoziemców...

Na ulicach ukraińskiej stolicy dominował w tamtych latach język rosyjski. Pewna moja znajoma z Kijowa powiedziała mi, że po ukraińsku mówią dwie kategorie ludzi – przede wszystkim mieszkańcy wsi, którzy słabo znają rosyjski z powodu mizernego wykształcenia, oraz intelektualisci, czyli ludzie świetnie wykształceni i odczuwający potrzebę identyfikowania się z kulturą ukraińską. Ostatnio trzeba by do tych grup dodać trzecią kategorię – polityków i urzędników, którzy zaczęli się masowo douczać języka ukraińskiego, niektórzy musieli zdawać egzaminy z jego znajomości. W latach 1992 i 1993 kijowskie szkoły masowo przeszły na nauczanie w języku ukraińskim, ale w czasie przerw uczniowie i nauczyciele powszechnie rozmawiali ze sobą po rosyjsku.

To, jakim językiem mówiło się w domu, było przeważnie kwestią indywidualnej decyzji w rodzinach, bardzo często dwujęzycznych. Swojego czasu poznałem inteligentką rodzinę – oboje małżonkowie byli pracownikami naukowymi – która w 1991 roku zdecydowała się

przejsć w relacjach domowych na język ukraiński. Ale rzecz okazała się nie taka prosta. Starsze dziecko, urodzone bodajże w 1988 roku, nauczyło się mówić w języku rosyjskim, młodsze zaś od samego początku było wychowywane po ukraińsku. Twierdzili jednak, że udawało im się jakoś zarządzać życiem rodzinnym w tym językowym chaosie.

Jak wynikało z badań socjologicznych przeprowadzonych u schyłku ZSRR, na co dzień w domu po ukraińsku mówiła niewiele ponad połowa mieszkańców radzieckiej Ukrainy. Sytuacja była, rzecz jasna, regionalnie bardzo zróżnicowana. Inaczej wyglądała we Lwowie, inaczej w Charkowie czy Odessie. W Ukrainie nie było rusofobii aż do pierwszej agresji rosyjskiej na wschodnią część kraju w 2014 roku. Jeśli zaś chodzi o rozszerzanie zakresu używania języka ukraińskiego w codziennym, a zwłaszcza w urzędowym życiu, a także w szkołach i na uniwersytetach, to było ono raczej powszechnie akceptowane, również przez tych, którzy między sobą rozmawiali po rosyjsku. Bierna znajomość języka ukraińskiego była powszechna, może poza Krymem.

Rosyjskojęzyczni Ukraińcy w ogromnej większości utożsamiali się ze swoim krajem. Ludzie chętnie deklarowali gotowość poduczenia się mowy ojczystej – jak tylko czas pozwoli – i nawet jakby trochę wstydziło się tego, że nie władają nią biegle. Za niepodległością w referendum zagłosowało ponad dziewięćdziesiąt procent obywateli radzieckiej Ukrainy. Większość głosów „za” padła także na Krymie i w Sewastopolu. Ludności rosyjskojęzycznej w Ukrainie w żadnym wypadku nie można identyfikować z narodowością rosyjską. Rosjan zresztą było i jest w Ukrainie niemało. Na niepodległość kraju „pracowali” nie tylko mieszkańcy Lwowa i Galicji, lecz przede wszystkim mówiący po rosyjsku mieszkańcy wielkich ukraińskich miast – Kijowa, Charkowa, Odessy, Dniepropietrowska, którzy najpierw zaangażowali się w pieriestrojkę, a potem masowo demonstrowali na ulicach przeciwko moskiewskim puczystom w sierpniu 1991 roku. I równie masowo głosowali później za niepodległością Ukrainy. Byli wśród nich inteligenci i studenci, a także robotnicy, w tym strajkujący w 1990 i 1991 roku górnicy ukraińskiego Donbasu. Przywódcę tych strajków, Mychajła Wołyńca – ukraińskiego Wałęsę – miałem okazję poznać wtedy osobiście.

Podróże i rozmowy

W czasie pobytu w Kijowie przyglądałem się z dystansu pracy polskiej placówki dyplomatycznej. Ambasada RP w Kijowie mieści się przy ulicy Jarosławiw Wał (Wał Jarosława) w samym centrum miasta, w dawnym budynku konsulatu generalnego PRL, który znalazł tu swą siedzibę w latach sześćdziesiątych. Wielki atut tej lokalizacji, co sam bardzo doceniłem, gdy kilkanaście lat później zostałem ambasadorem w Kijowie, stanowiła bliskość ukraińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Prawie naprzeciwko niej znajduje się – robiący wielkie wrażenie – budynek karaïmskiej kenesy, to jest domu modlitwy użytkowanego niegdyś przez kijowskich Karaïmów, czyli pochodzącą z Krymu społeczność pochodzenia turkijskiego, wyznającą religię będącą odłamem judaizmu. Kenesę zbudowano w stylu mauretańskim według projektu Władysława Hoderdeckiego, wybitnego kijowskiego architekta polskiego pochodzenia.

Nieco bardziej w lewo od polskiej ambasady, także po przeciwnej stronie ulicy, znajduje się Złota Brama, przez którą Bolesław Chrobry miał wjechać do Kijowa w 1018 roku i – jak głosi legenda – wyszczerbił na niej swój miecz, który potem stał się mieczem koronacyjnym niemal wszystkich polskich królów. To tylko legenda, bo miecz przechowywany do dziś na Wawelu pochodzi z XIII wieku. Obecna Złota Brama jest rekonstrukcją, gdyż resztki starych wałów i dawnych bram wjazdowych rozpadły się jeszcze przed połową XIX stulecia. Została po nich niewielka górka porośnięta trawą i krzewami.

Oglądałem kiedyś rycinę z wieku XVIII, przedstawiającą okolice Złotej Bramy. Wtedy stały jeszcze w jej miejscu jakieś kikuty, pozostałe po dawnej budowli, a zabudowa najbliższej okolicy przypominała wieś. Tu, gdzie jest teraz Ambasada RP, znajdowała się parterowa zagroda. Mimo że Kijów jako ośrodek miejski liczy grubo ponad tysiąc lat, nie ma tam właściwie zabytków pochodzących sprzed wieku XVIII, oprócz paru obiektów sakralnych – soborów i pustelni z czasów dawnej Rusi Kijowskiej. Miasto nie miało szczęścia w historii. Zrównane z ziemią przez Tatarów w XIII wieku, potem zniszczone przez ogromny pożar w końcu wieku XV, w następnych stuleciach było przez dłuższy czas

raczej stolicą duchową Rusinów-Ukraińców niż ośrodkiem gospodarki i handlu. Ponowny rozwój nastąpił dopiero w pierwszej połowie XIX wieku i z czasem urbanizacja wróciła w okolice dawnej Żłotej Bramy.

W latach sześćdziesiątych XX wieku przy ulicy Jarosławiw Wał wybudowano kilka budynków, w których umieszczono zagraniczne konsulaty – polski, czechosłowacki, wschodniemiecki, węgierski. Miejscowi Polacy wspominali, że wzniesiono je na miejscu, gdzie wcześniej były zrujnowane albo rozebrane zaraz po wojnie parterowe drewniane domki.

Nie udało mi się ani razu w ciągu dwóch lat umówić na spotkanie z Jerzym Kozakiewiczem, pierwszym ambasadorem RP w Ukrainie, chociaż próbowałem. Jednakże, siłą rzeczy, jako redaktor wydawnictwa, spotykałem się często z osobami współpracującymi z polskim konsulem generalnym i ambasadą. Krąg tłumaczy z języka polskiego był wtedy w Kijowie raczej ograniczony, toteż osoby, które pracowały dla ambasady, dorabiały sobie do dość skromnych pensji tłumaczeniami dla innych zleceniodawców.

Dowiedziałem się od moich współpracowników, mających kontakty z polską ambasadą, a wcześniej z konsulem, że przed 1991 rokiem wśród stałych gości polskiej placówki znajdowali się wybitni ukraińscy pisarze zaangażowani w demokratyczne przemiany w kraju. Miałem okazję niektórych z nich poznać osobiście, zamienić z nimi więcej niż kilka słów. Ołeś Honczar, Roman Łubkiwski czy Dmytro Pawłyčko wspominali dawne ciekawe inicjatywy polskiej placówki – wyjazdy do Polski, spotkania z polskimi literatami, przekłady na język polski, chwalili się polskimi medalami i odznaczeniami z czasów PRL. I trochę narzekali. Uważali, że działalność naszej placówki przygasa, że polska prasa i literatura stały się trudniej dostępne.

W tych narzekaniach było sporo przesady. Po pierwsze, oni sami byli mocno uwikłani w politykę i mieli mniej czasu na spotkania. Po drugie, polska prasa i książki dramatycznie zdrożały dla odbiorców na Wschodzie znacznie wcześniej, jeszcze w połowie 1990 roku, gdy zaczęliśmy się rozliczać z ZSRR w walutach wymiennalnych.

Muszę jednak przyznać, że mnie też postawa polskiej ambasady wydawała się dość pasywna, nie na miarę okoliczności stworzonych

przez fakt, że Polska jako pierwszy kraj na świecie uznała niepodległość Ukrainy. Może wynikało to z ograniczeń budżetowych w trudnej dla polskiego MSZ pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych?

Większość spotkań i rozmów zawdzięczałem moim współpracownikom – autorce książek dla dzieci Łesi Woroninej, która była partnerką znanego kijowskiego pisarza i publicysty Jewhena Hucalo, Oksanie Kołodocze, redaktorze gazety „Mołodź Ukrainy”, czy Wiktorowi Baribie, teatralnemu scenografowi, a także malarzowi i grafikowi. Dzięki spotkaniom w Kijowie oraz podróżom po Ukrainie w latach 1992–1994 poznałem wiele ciekawych osób – polityków, biznesmenów, dziennikarzy, ludzi kultury i nauki; a także ludzi ukraińskiego sportu – dzięki współpracującej z naszym wydawnictwem kijowskiej dziennikarce i redaktorze sportowej Alewtyinie Lewickiej, wdowie po tragicznie zmarłym Henryku Lewickim, dziennikarzu radiowym i współzałożycielu pierwszej legalnej organizacji Polaków w Kijowie. Nawiązywałem te kontakty bardziej dla zaspokojenia własnej ciekawości niż z potrzeby mojego pracodawcy czy polskich gazet, z którymi współpracowałem.

Poza Kijowem odwiedzałem dość często Żytomierz, Charków, Dniepropietrowsk, Czernihów. Także Odessę i oczywiście Lwów. W 1993 roku spędziliśmy urlop na Krymie, po raz pierwszy odwiedzając Sewastopol, Jaltę i Bachczysaraj.

Trwał wtedy otwarty konflikt między władzami krymskiej autonomii a Kijowem. Wielu Rosjan uważało przynależność Krymu do Ukrainy za nieporozumienie, któremu trzeba położyć kres. Siły prorosyjskie podjęły otwartą próbę secesji. W Sewastopolu zaskoczyła mnie już na rogatkach tego miasta kontrola graniczna przeprowadzana przez marynarzy służby wewnętrznej (żandarmerii) rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Cudzoziemcom nakazywano pokazywać paszporty i coś w nich starannie sprawdzano. Kolejnym zaskoczeniem była wielka liczba rosyjskich flag oraz proporców z krzyżem świętego Andrzeja, czyli symbolem rosyjskiej marynarki wojennej w czasach carskich. Flota pomagała podtrzymywać nastroje prorosyjskie wśród mieszkańców Krymu, zwłaszcza Sewastopola. Natomiast symbolika ukraińska była właściwie niewidoczna.

W tym samym czasie nasilał się także kryzys polityczny w Rosji. Ówczesni krymscy separatyści byli mocno powiązani ze zwolennikami obalenia rządów Borysa Jelcyna w Moskwie, co bardzo osłabiło ich pozycję, gdy Jelcyn wyszedł zwycięsko z politycznej konfrontacji z rosyjskim parlamentem. Krymscy separatyści utracili też z czasem poparcie lokalnego biznesu, zainteresowanego utrzymaniem związków z innymi częściami Ukrainy. Kryzys wokół Krymu wygasł dopiero jesienią 1994 roku, gdy nowy ukraiński prezydent Leonid Kuczma usunął sprzyjające separatystom miejscowe władze i powołał na stanowisko krymskiego premiera przedstawiciela wielkiego biznesu z Dniepropietrowska, a prywatnie swojego szwagra – Anatolija Franczuka. Moskwa przyjęła ten ruch bez większych protestów.

W czasie naszego urlopowego pobytu na Półwyspie Krymskim nie było jeszcze wiadomo, czym to się wszystko skończy. Obejrzelśmy wtedy słynną sewastopolską panoramę namalowaną w początkach XX wieku, a podczas jej zwiedzania zetknęliśmy się z otwartym rosyjskim szowinizmem.

Panorama dokumentuje jeden z epizodów oblężenia Sewastopola w czasie wojny krymskiej w latach 1854–1855. Młoda miejscowa przewodniczka była bardzo przejęta swoją rolą. Opowiadała o poszczególnych scenach w sposób bardzo emocjonalny, zachwycała się bohaterstwem rosyjskich żołnierzy. Nas jako cudzoziemców traktowała podejrzliwie. W którymś momencie obsztorcowała mnie za to, że przekładam synowi, który miał wówczas siedem lat, niektóre informacje na język polski. Zapytała nas, skąd jesteśmy. Gdy dowiedziała się, że z Polski, w geście dobrej woli stwierdziła:

– Przecież wszyscy jesteście Rosjanami – i wy, Polacy, i Litwini, i my, mieszkańcy Rosji i Ukrainy⁶.

Na próżno zaprzeczałem, twierdząc, że Polacy, Litwini i Ukraińcy na pewno nie są Rosjanami. Młoda dama wiedziała lepiej.

⁶ W języku rosyjskim funkcjonują w tym kontekście dwa osobne określenia. Słowo „rossijanin” nie wyraża przynależności etnicznej, ale jedynie polityczną i obejmuje właściwie wszystkich mieszkańców państwa rosyjskiego. Dla opisanego rosyjskiego etnosu używa się słowa „russkij”.

Centralnym wydarzeniem wspomnień **Jacka Kluczkowskiego** jest pomarańczowa rewolucja w Ukrainie w 2004 r.

Autor **Przypadków i wpadek dyplomaty** obserwował ją z bliska, gdyż należał do grupy osób, które organizowały wtedy międzynarodową misję mediacyjną w Kijowie i obrady tamtejszego okrągłego stołu.

Od lat 90. XX wieku autor książki pełnił istotne funkcje w najważniejszych instytucjach państwa. Pracując w kancelarii prezydenta, pisał teksty przemówień Aleksandra Kwaśniewskiego, a za rządów Marka Belki był koordynatorem doradców premiera. Angażując się coraz mocniej w sprawy kontaktów z Ukrainą, uczestniczył m.in. w negocjacjach dotyczących odbudowy Cementarza Orłat Lwowskich i w rozmowach na temat organizacji mistrzostw Europy w piłce nożnej. A niespełna rok po pomarańczowej rewolucji został ambasadorem Polski w Ukrainie.

Wszystkie te etapy swojej działalności opisał w publikowanym tomie. Możemy dzięki temu obserwować „od kuchni”, jak tworzy się politykę zagraniczną i jak wygląda codzienna praca w dyplomacji, a również przyrzeć się scenie politycznej Ukrainy w czasach, gdy główne role odgrywały na niej tak barwne postaci, jak Julia Tymoszenko i Wiktor Juszczenko.

Z niecierpliwością czekałem na wydanie wspomnień mojego polskiego przyjaciela Jacka Kluczkowskiego. Dyskutując z nim, biorąc udział w negocjacjach, upewniłem się wielokrotnie, że jest on patriotą Polski i prawdziwym przyjacielem Ukrainy. Jego książka na pewno zainteresuje licznych czytelników, których ciekawi historia i współczesność relacji polsko-ukraińskich.

Borys Tarasiuk

Podczas pomarańczowej rewolucji Jacek Kluczkowski znalazł się w Kijowie u boku Aleksandra Kwaśniewskiego właśnie dlatego, że był prawdziwym motorem zaangażowania Polski w mediację między stronami konfliktu w Ukrainie. A mnie przekonał do poparcia idei polsko-ukraińskiego Euro i... zaciągnięcia wielu związanych z naszą kandydaturą zobowiązań. W sumie – pasjonująca lektura.

Marek Belka

ISBN 978-83-07-03561-1



9 788307 035611

www.czytelnik.pl

RÓWNIEŻ JAKO
E-BOOK